SOBOTA

ŚWIAT MŁODYCH

HARCERSKA GAZETA NASTOLATKÓW

NR 113 20 WRZEŚNIA 1975 R. CENA 1,50 ZŁ

SPORT BEZ PRAWA DO SŁABOŚCI?...

zastanów się z nami na str. 3.

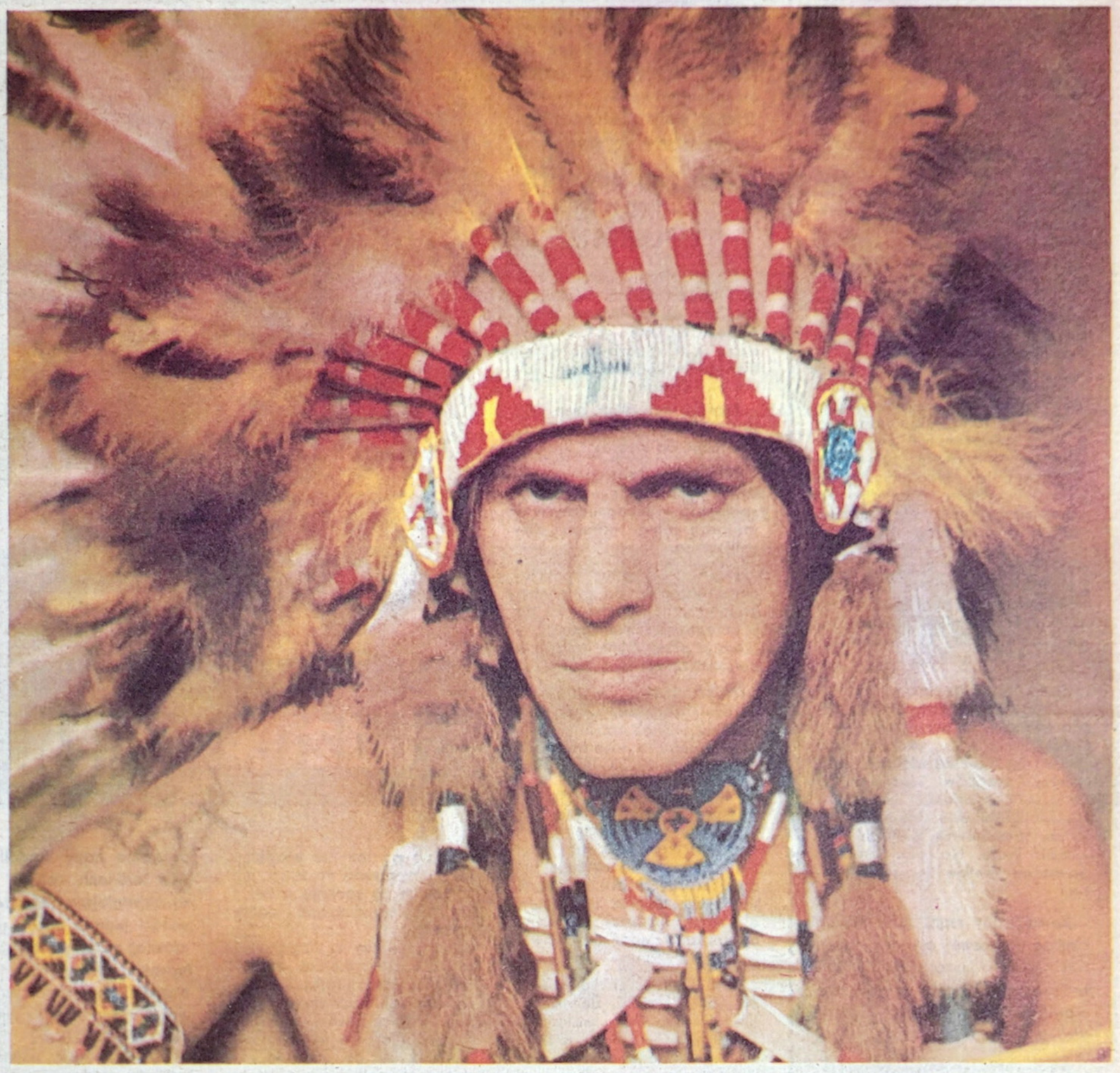

Zdjęcie: J. Hattowski

INDIANIN MARYNARZEM, *czyli* DZIEJE DŁUGIEGO PIÓRA

Opowieść będzie prawdziwa, bohater autentyczny, choć w historię jego życia uwierzyć trudno — wydaje się fantastyczna, literacka, wymyślona. Jeden człowiek, a jakby dwa różne życiorysy: dzieciństwo i wczesna młodość w lasach Kanady wśród indiańskich plemion, i późniejsze lata w europejskim kamiennym mieście. Najpierw, jako wolny łowca wychowany w szkole natury, oddychał powietrzem wolnej puszczy, a potem, jako mechanik okrętowy w ograniczonej przestrzeni maszynowni statków handlowych odbywa dalekie rejsy. Na ile może się człowiek dostosować do nagłych zmian losu i jakie ślady pozostawia w nim przeszłość?

Autor „Ziemi Słonych Skał", Indianin polskiego pochodzenia Sat-Okh czyli Długie Pióro, syn wodza Szewanezów i prawnuk sławnego Tecumseha, a obecnie polski marynarz, interesował mnie od dawna. Kiedy tego lata na krótko pojawił się na lądzie, postanowiłam go poznać. Dzięki spotkaniu z autorem w międzywiersze autobiograficznej powieści Sat-Okha mogę wpisać ciąg dalszy.

(O którym na str. 5)

JA TY MY

Dziewczyna MICHAŁA — ANKA nie daje mu dojść do głosu, cały czas opowiada tylko o sobie, o swoich przeżyciach. „PIETRUCHA" uważa, że ANKA jest egoistką i że z takimi ludźmi jak ona trudno jest współżyć. AGNIESZKA pożyczała na obozie wszystkim swoje rzeczy, były im potrzebne, ale potem zapomniała odebrać swoją własność, rodzice mają do niej o to pretensje, AGNIESZKA jest na rodziców rozgoryczona. Koleżanka MAGDY obraziła się na nią, że nie chciała pożyczyć jej sweterka, sweterek kosztował 800 zł. „KOLOMBINA" oburza się na MAGDĘ i pyta jaka suma stanowi dla niej granicę przyjaźni.

To niektóre z dotychczasowych wypowiedzi w naszej nowej dyskusji — „JA — TY — MY". Za chwilę zabiorą głos kolejni dyskutanci:

(DALSZY CIĄG NA STR. 4)

TO BYŁ NAPRAWDĘ KONCERT!!!

Nie pomyliliśmy się nazywając chorzowski mecz koncertem na czterdzieści cztery nogi. Pokonaliśmy wicemistrzów świata różnicą aż trzech bramek! Ale nie o wynik chodzi, lecz o grę. Ta była na najwyższym światowym poziomie. W chorzowskim spotkaniu Polacy pokazali piękny, dojrzały futbol. Wszyscy atakowali i wszyscy się bronili. I szaleńcze tempo, znakomita kondycja. Zresztą o grze biało-czerwonych najwymowniej świadczą tytuły jakimi opatrzyli swe sprawozdania z meczu zagraniczni dziennikarze: „Piłkarski świat oniemiał z zachwytu", „Tulipany zwiędły w Chorzowie", „Nokautujący cios biało-czerwonych", „Pomarańczowy kolor wyblakł w Chorzowie", „Profesorzy futbolu Lato, Gadocha i Szarmach, dali lekcję gry".

Nie wiem, czy rewanżowe spotkanie zakończy się równie korzystnym wynikiem jak chorzowskie, nie wiem też, w jakim stosunku pokonamy Włochów. Nie mam pewności czy na pewno awansujemy do finałów mistrzostw Europy, choć nasze szanse bardzo wzrosły. Ale wiem jedno, że za chorzowski mecz trenerom, działaczom, organizatorom, chorzowskiej wspaniałej publiczności oraz autorom spektaklu — piłkarzom należą się gorące podziękowania.

Dziękujemy! Daliście prawdziwy koncert gry!

(DS)

Zdjęcie: **M. Świderski**

Czas wspomnień

POCIECHA (HSI). Na pięknie położonej polanie we wsi Pociecha (Puszcza Kampinoska) znajduje się płyta pamiątkowa powstańczych oddziałów specjalnych „Jerzyki". W tym historycznym miejscu, we wrześniu tego roku odbyło się spotkanie byłych uczestników walk z oddziałów Armii Ludowej i Armii Krajowej połączone ze zlazem drużyn harcerskich z całej okolicy. **(mh)**

NARADA WSPÓŁGOSPODARZY

KALISZ (HSI). Członkowie 21 Szczepu ZHP im. Hanki Sawickiej, działającego przy Liceum Ogólnokształcącym w Kaliszu, zorganizowali (po raz pierwszy) tzw. Trybunę Harcerską. Było to spotkanie i wspólna narada przedstawicieli organizacji młodzieżowych i poszczególnych klas z dyrekcją szkoły. (hr)

Szalupa z „Batorego"

BYDGOSZCZ (HSI). Zaczęło się od zwykłej szalupy z flagowego statku pasażerskiego „Batory". Do przebudowy łodzi ratunkowej wzięli się harcerze z Bydgoskiej Chorągwi. Wielka praca zakończyła się pełnym sukcesem. W Harcerskim Ośrodku Wodnym w Funce zwodowany został niedawno jacht „Retman" — flagowa jednostka Bydgoskiej Chorągwii ZHP. Jacht ten posiada cztery maszty i dziesięć żagli o powierzchni 60 m kw. Żeglować na nim może załoga licząca 25—30 osób. Jest to największa tego typu jednostka, przeznaczona na wody śródlądowe. Inicjatorem całego przedsięwzięcia był kapitan pierwszego, dziewiczego rejsu — Gerard Rudnicki. „Retman" pływając po Jeziorze Charzykowskim służyć będzie bydgoskim żeglarzom jako jacht szkoleniowy. **(mh)**

Dziś przedstawiamy:

LIBIA

Wrzesień 1969 r. zapoczątkował w Libii okres przemian, które mają na celu przekształcenie zacofanego państwa w formację nowoczesną. Wtedy to grupa młodych oficerów obaliła władzę sędziwego króla Idrysa i rozpoczęła rewolucyjne przeobrażenia. Na czele Rady Rewolucyjnej, najwyższego organu rządzącego Libią stanął płk Muammar Kadafi. (Od 1974 roku funkcję kierownika państwa przejął A. S. Dżallud).

Nowe władze rewolucyjne odziedziczyły niełatwą sytuację. Kraj o słabo wykształconej odrębności państwowej — Zjednoczone Królestwo Libii — powstał dopiero w 1951 roku z trzech prowincji włoskich: Cyrenajki, Trypolisu i Fezzanu. Dochód na głowę jednego mieszkańca w tym rejonie świata, uchodzącym za jeden z najuboższych, wynosił poniżej 100 dolarów na głowę. Wiadomo było tylko jedno — kraj posiada olbrzymie zasoby ropy naftowej, które bogaciły zagraniczne monopole i dwór królewski.

Od tego czasu wiele już zrobiono, toteż obecnie twierdzi się, że w ciągu 10 lat Libia stanie się w pełni nowoczesnym państwem. Obecnie realizowany plan 3-letni przewiduje wybudowanie 80 tysięcy budynków mieszkalnych i administracyjnych, wielu szkół i szpitali, a także dróg i autostrad. Rozwija się w kraju własny przemysł przetwórczy, który ma zapewnić jak największą samowystarczalność. Dotychczas bowiem większość artykułów przemysłowych i żywnościowych sprowadzana jest z zagranicy.

Przed tym pustynnym krajem rysuje się także perspektywa dynamicznego rozwoju rolnictwa. Otóż satelity okołoziemskie stwierdziły istnienie wielkich, podskórnych zasobów wodnych na Saharze. Uruchomić je mogą studnie głębinowe, które pozwolą na nawodnienie wielkich obszarów kraju. Na tych terenach powstaną wielkie kompleksy rolne.

Rewolucyjny rząd, duży nacisk kładzie na rozwój oświaty, nauka jest nie tylko bezpłatna, ale także premiowana finansowo. Bezpłatna jest również służba zdrowia.

Możliwość realizacji tych ambitnych zadań stwarzają dochody z ropy naftowej. Rząd Rewolucyjny od chwili przejęcia władzy nie ustawał w wysiłkach, aby zdobyć wpływy nad ropą. Dopiero w 1973 r. ukazała się ustawa o nacjonalizacji, przewidująca przejęcie przez państwo co najmniej 51 procent udziału w przedsiębiorstwach zagranicznych. **(bz)**

Powierzchnia: 1.759.000 km kw.
Ludność: 2,2 mln.

Gdzie trzech się bije...

11 listopada br. Angola ma otrzymać całkowitą niepodległość. Tak przynajmniej głosi dokument, który podpisali przedstawiciele rządu portugalskiego oraz przywódcy trzech angolijskich organizacji wyzwoleńczych. Powstał nawet rząd przejściowy, złożony z członków Ludowego Ruchu Wyzwolenia Angoli (MPLA), Narodowego Frontu Wyzwolenia Angoli (FLNA) i UNITY. Ale w kilka dni po tym fakcie z głębi afrykańskiego kontynentu zaczęły nadchodzić niepokojące wieści. Rząd się rozpadł, kontrolę nad krajem przejął portugalski admirał. Słychać głosy o rozpoczynającej się wojnie domowej...

DLACZEGO NIE CHCĄ SPOKOJNEJ WOLNOŚCI?

Na to pytanie nie jest trudno odpowiedzieć. Wystarczy spojrzeć na polityczną mapę Angoli. Na niej zaś wyrysowane są ze zdumiewającą dokładnością sprzeczne siły, jakie nią szarpią.

Przede wszystkim owe trzy ugrupowania wyzwoleńcze, tak różne od siebie:

MPLA ma postępowy, radykalny program przemian społeczno - ekonomicznych w interesie całego narodu angolijskiego.

FLNA to czarna reakcja, odwołująca się do najprymitywniejszych odruchów i do plemiennego szowinizmu, popierana przez różne kręgi imperialistyczne.

UNITA, to ugrupowanie najbardziej watpliwe, z całą pewnością jednak konserwatywne i popierane najprawdopodobniej przez CIA.

Ale to jeszcze nie wszystko. Angola nie jest przecież sama. Ma wokół siebie sąsiadów, którzy wiążą z nią najprzeróżniejsze nadzieje. Trudno Europejczykowi połapać się w tym splocie zależności, dla samej ilustracji problemu przytaczamy jeden tylko przykład:

Kiedy w 1963 r. ówczesny prezydent Algierii, Ben Bella, postanowił pomóc walczącej Angoli i wezwał do tego inne kraje, to choć jego słowa zostały przyjęte z entuzjazmem, wkrótce doszło do batalii: k o m u właściwie pomagać — Neto czy Holdenowi? Kasavubu, prezydent Konga (obecnie Zair) oświadczył kategorycznie, że p o z w a l a tylko na pomoc dla FLNA. Poparły go Tunezja, Nigeria, Senegal, Niger, Czad i Mauretania. Lecz Algieria, a także Gwinea i Maroko, równie stanowczo opowiedziały się za MPLA. Spięcie było bardzo ostre. Pojawili się jednak mediatorzy: Egipt, Tanganika (obecnie: Tanzania), Mali i Burundi. Stanęło na tym, że państwa Afryki będą nakłaniać MPLA i FLNA do utworzenia jednolitego frontu, a póki to nie nastąpi, mogą i powinny popierać obie organizacje. Salomonowy wyrok ułagodził wszystkich, ale jego skutki są dziś widoczne aż nadto dobrze.

Lecz i to nie wszystko, bowiem do sprawy niepodległości Angoli wtrąciły się również Chiny, popierając FLNA i dając po raz nie wiadomo już który dowód na to, iż nie zależy im na spokoju w świecie, lecz na ciągłym sianiu zamętu.

Zatem — czy to Angolijczycy nie chcą spokojnej wolności? Ależ chcą! Jedynie zdezorientowani rozwojem sytuacji, rozbici między trzy ugrupowania, nie mający do tej pory nic do gadania w sprawach polityki, nie umiejący w związku z tym oddzielić ambicji swych wodzów od rzeczywistych racji narodu — nie potrafią opowiedzieć się zdecydowanie za organizacją, która mogłaby im przynieść autentyczną wolność.

KTO JEST SILNIEJSZY?

Obserwatorzy zagraniczni twierdzą, że MPLA — najstarszy angolijski ruch narodowo-wyzwoleńczy, powstał w 1956 r. dzięki inicjatywie członków podziemnej Komunistycznej Partii Angoli, jej sympatyków i grupy wykształconych Afrykanów o poglądach radykalnych.

Ruch formułuje dr Neto — człowiek wszechstronnie wykształcony, poeta i doktor medycyny, Mulat pochodzący z plemienia Mbundu, zamieszkującego okolice Luandy i centralną część Angoli. Na tych terenach wpływy MPLA są najsilniejsze. Ruch ten wychodzi jednak poza granice własnej grupy etnicznej. Jest jedynym, który ma program ekonomiczno - społeczny i wokół niego skupił sympatyków.

Dr Neto, kiedy powstał ów pierwszy rząd angolijski, starał się od razu skierować go na tory wspólnego działania. Miała powstać wspólna armia, miały się toczyć dyskusje nad reformą rolną i strukturą ustrojową kraju. Tak się jednak nie stało. Czując bowiem rosnącą siłę MPLA, w ścisły kontakt ze sobą wchodzą UNITA i FLNA. Ich orientacja polityczna jest bardzo zbliżona, przeszłość obu wodzów dość podobna. Nic więc nie stoi na przeszkodzie, by wystąpić zbrojnie przeciw dr Neto i jego ludziom, bez zasłaniania się, że to nieporozumienie.

Dochodzi do skrytobójczych mordów. FLNA i UNITA za wszelką cenę chcą opanować stolicę. Ale to dla nich teren obcy. Stolicą naprawdę zna dr Neto i jego MPLA. Gdy więc nie pomaga zbrojny szantaż, FLNA sprowadza z Zairu 10 autobusów i wozi ludzi za darmo, starając się w ten sposób przeciągnąć ich na swoją stronę.

Wszystko na nic. Miasto zostaje w rękach MPLA. Pod adresem oddziałów FLNA, opuszczających Luandę pod ochroną wojsk portugalskich, padają najgorsze przekleństwa. Dziennikarze odnotowują jeszcze, że po FLNA został nie zapłacony rachunek, wynoszący 20 tys. funtów, za wynajęcie piętra w luksusowym hotelu „Tropico". Stolica oddycha z ulgą, godzina policyjna zostaje przesunięta na 24. Ale — jak się twierdzi — jest to krótka przerwa po bitwie, zwłaszcza, że poza Luandą trwają nadal zbrojne starcia — jedni drugim starają się odciąć dostawy żywności, zablokować drogi, porty...

CO CZEKA KRAJ?

Trudno na to odpowiedzieć jednoznacznie. Coraz częściej bowiem mówi się również o spisku wielkich kapitalistycznych koncernów, które swoimi pieniędzmi doprowadziły do rozbicia uzyskanej jedności. Jest bowiem o co walczyć. W Angoli są złoża diamentów, ropy, hematytów, manganu, miedzi i niklu. Jest też ogromny bukiet tutejszych towarów kolonialnych na czele z kawą, której kraj ten jest trzecim producentem na świecie.

Spisek ten, tak jak i krzyżujące się w Angoli interesy zairskie, chińskie, południowoafrykańskie i portugalskie drąży jeszcze bardziej kraj od wewnątrz. A wewnętrzna struktura Angoli już jest przecież skomplikowana. O co chodzi? Panowaniu portugalskiemu w tym kraju nie towarzyszył rasizm. Przeciwnie, Portugalczycy często i chętnie wchodzili w małżeństwa z Angolijczykami. Teraz zostaną po nich dziesiątki czy setki tysięcy Mulatów, nieszczęśliwych, wyobcowanych, zawieszonych między sprzecznymi wzorami kulturowymi. W dodatku w kraju mnóstwo jest dawnych „assimilados", Angolijczyków, którzy przejęli europejski styl życia i myślenia — byli kształceni w Europie. Masy nie darzą ich sympatią; są „zarażeni", odpadli od afrykańskiego pnia... No i ogromna większość portugalskich osadników (z nich wywodzi się cała administracja kraju) w popłochu opuszcza Angolę. Brak ich umiejętności może do reszty zdezorganizować gospodarkę kraju. Część zostanie, ale jak ich potraktują wyzwolone masy? Wielka to niewiadoma.

Kiedy więc w Angoli może zapanować spokój? Wtedy, gdy zwycięży MPLA — ruch lewicowy, odporny na podszepty rasizmu, starający się objąć wszystkich, którzy czują się Angolijczykami. Wtedy można liczyć, że stosunki międzyplemienne, międzyklasowe, międzyrasowe i międzykulturowe ułożą się bez drastycznych spięć, choć na pewno nie będą idylliczne. Ale jeżeli stanie się inaczej, Angola przeistoczy się w piekło.

Opr. **WOJCIECH PIELECKI**

Dreptanie w miejscu

Telewizja całego świata pokazała niedawno rozpromienionego prezydenta Egiptu Sadata, który razem ze swym rządem omawiał korzyści, płynące z zawarcia porozumienia między jego krajem a Izraelem, w czym wybitnie pomagał Henry Kissinger, sekretarz stanu USA. Jakież są te korzyści?

Z pewną ironią tak to przedstawiał jeden z korespondentów zagranicznych: „Izrael odstępuje zatem za amerykańskie pieniądze kawałek c u d z e g o, egipskiego terytorium. Egipt otrzyma z powrotem małą cząstkę swej własnej ziemi, zabranej w rezultacie napadu. Cena znana — Izrael otrzymuje tytułem rekompensaty za straty materialne, wynikające z oddania c u d z e g o terytorium, c u d z y c h źródeł naftowych i c u d z y c h przełęczy strategicznych sumę 3 miliardów dolarów. Tyle wynosi ratalna kwota pomocy amerykańskiej dla Izraela, wstrzymana przezornie do chwili wykonania porozumienia".

Jakież inne korzyści mógł omawiać prezydent Sadat? Bo przecież w rezultacie owego porozumienia otrzyma tylko z powrotem wyeksploatowane do granic możliwości źródła naftowe Abu Rudeiss i przełęcze strategiczne Gidi i Mitla. Odzyska w ten sposób 1/7 Półwyspu Synajskiego, wojska egipskie posuną się o 30 km naprzód i o tyleż kilometrów dalej powstaną nowe fortyfikacje izraelskie. Kiedy to się stanie, przez 3 lata ma tu zapanować spokój.

Tak twierdzi prezydent Sadat, który po wojnie październikowej 1973 r., gdy wojska egipskie przeszły na drugą stronę Kanału Sueskiego, ale ich II armia została zaskoczona i okrążona, tak to skomentował: „Mogę walczyć z Izraelem, ale nie mogę walczyć ze Stanami Zjednoczonymi". Wtedy zapewne narodziła się koncepcja małych kroków, którą USA skwapliwie podchwyciły.

A przecież to porozumienie jest wyraźnym zaprzeczeniem idei wspólnoty arabskiej, której Egipt był jednym z architektów. Pomija bowiem problem palestyński, odsuwa możliwość zwołania konferencji genewskiej w sprawie globalnego rozstrzygnięcia konfliktu na nieznaną przyszłość. A przecież cała ta wojna wzięła się z krzywdy, jaką wyrządzono Palestyńczykom, wypędzając ich, z obszarów, które zamieszkiwali i utworzenia tam państwa, które z założenia było im wrogie — Izraela. Tylko więc usunięcie tej krzywdy i zapewnienie 4 milionom ludzi własnego państwa może zagwarantować stałe granice między Izraelem i państwami arabskimi.

Nic więc dziwnego, że nawet amerykańscy publicyści krytykują rzekomy sukces Kissingera, nazywając go dreptaniem w miejscu, mimo że jest to tzw. polityka „małych kroków", a ostatni krok wynosi 30 km. Dreptanie w miejscu — bo w skali całego Bliskiego Wschodu nic on nie rozstrzygnął. Sadat robi więc małe kroki, ale inne kraje arabskie na szczęście nie idą jego śladem. Najlepszym tego dowodem jest porozumienie o wspólnym wojskowym kierownictwie na wypadek agresji, utworzone przez Jordanię i Syrię. Jest to tym ważniejsze, że Jordania miała do tej pory wiele często krwawych konfliktów, z żyjącymi w jej granicach Palestyńczykami, Syria natomiast jest uznawana za największego ich orędownika. Wspólna polityka zagraniczna, a zwłaszcza możliwość włączenia w to Organizacji Wyzwolenia Palestyny, może doprowadzić wkrótce do rezultatów o wiele większych niż odzyskanie skrawka własnej ziemi.

„Boję się — pisze jeden z amerykańskich korespondentów z Bliskiego Wschodu — że Stany Zjednoczone i Egipt wobec zdecydowanej postawy innych państw arabskich przegrają. Boję się też, że może powtórzyć się Wietnam. Oby w razie konfliktu nikt z Białego Domu nie wpadł na pomysł interwencji w sprawie znajdujących się na Synaju naszych specjalistów". Oby!

WOJCIECH MARCINKOWSKI

Bez prawa do słabości?

OD dłuższego czasu odczuwał dolegliwość w nodze. Bywało, że w momencie szybszego rozbiegu, mięśniami obolałej nogi targał przenikliwy ból. Ogarniało go wtedy zniechęcenie, ale świadomość tego, że wszyscy dokoła patrzą i liczą na niego, dodawała sił. Musi wytrwać... A tak chciałby odpocząć!

W tej chwili w jego wyobraźni zniknął urok sportu — pasji jego życia, pozostał obowiązek... Obowiązek? Przez kogo narzucony? Przecież nic się nie stanie, jeśli zejdzie z boiska i powie, że ma dość, że dziś naprawdę nie może. Pamiętał jednak głosy kibiców, że musi wygrać, że to jego obowiązek bronić honoru klubu.

Musisz, obowiązek, honor... — dla niego to brzmiało jak zapowiedź potępienia, przekreślenia jego dotychczasowego dorobku, jeśli się tylko przeciwstawi. A przecież on sam — jak każdy sportowiec i każdy człowiek — chce wygrywać! Ale i jak każdy człowiek ma również prawo do słabości i chwil zwątpienia.

Zdjął dres i powlókł się na rozbieg. Spojrzał na dzielącą go od linii odbicia odległość i dreszcz normalnego, ludzkiego strachu wstrząsnął nim całym. Tak daleko! Czy zdoła wykrzesać z siebie dość sił, by pokonać odległość sprintem i oddać skok, którym zakwalifikuje się do dalszej rundy?... Zyskałby wtedy trochę czasu na odpoczynek i zebranie sił do dalszej walki. Ruszył. Biegł coraz szybciej, z wykrzywioną grymasem bólu twarzą, nadludzkim wysiłkiem odbił się i skoczył. Udało się! Jest już w finale! W tej chwili gotów był całemu światu rzucić się w ramiona. Ze wszystkich stron powiewały ku niemu chusteczki, czapki, kapelusze, leciały wiązanki kwiatów.

Lekko utykając podszedł do pozostawionego na murawie dresu i usiadł. Radość sukcesu zmąciła jednak refleksja: co by było, gdyby nie wygrał?... Nagle ogarnął go strach. Co będzie dalej? Przed nim przecież najważniejsza próba — finał! Rozejrzał się dokoła. Wszędzie roześmiane twarze i las wyciągniętych ku niemu rąk, jakby zaraz miały go pochwycić i wznieść na z góry przygotowany cokół. Tak, jest ich idolem, ale na jak długo?... W tym momencie zdał sobie sprawę z tego, że oni nie chcą wiedzieć o jego bólu, o słabości. Gdyby nie wygrał — gotowi go znieważyć. Traktują go przecież jak swoją rzecz, maszynkę do skakania. Jak bardzo ich teraz nienawidzi! Zimnych i bezwzględnych, żądających wysiłku przerastającego jego siły. Będzie skakał dalej, bo w swojej sportowej karierze dość już nasłuchał się gwizdów, przekleństw i obelg... Jakże by chciał widzieć ich wszystkich na swoim miejscu, wątpiących w swoje możliwości i przerażonych każdą następną próbą! Ale jak on by się zachował na ich miejscu? Czy przyznałby im prawo do słabości i zwątpienia?...

Kibic... Kto to jest i kim jest? Przyjacielem, na którego życzliwość możesz liczyć w każdej chwili? I w tej radosnej — zwycięstwa, i w tej pełnej goryczy — porażki?... A może to inkwizytor, odczytujący grymas wysiłku na twarzy zawodnika jako wyraz niechęci i lekceważenia, jego — kibica — woli?...

A czy kibic ma prawo do słabości? — Tak, jak każdy człowiek. Ale ta słabość nie może wyrażać się chamstwem i bezwzględnością. Kibic powinien umieć przeżywać, zwyciężać i przegrywać wraz z zawodnikiem. Nie wszyscy wszak mogą wygrywać — wtedy nie byłoby prawdziwej sportowej rywalizacji. A już sam fakt uprawiania sportu jest zwycięstwem... Zwycięstwem nad samym sobą.

RYSZARD RATAJCZYK

KOSZALIŃSKIE DNI NIEZAPOMNIANE

KOSZALIN, miasto Ogólnopolskiego Spotkania Młodzieży, powitał nas zielenią, nowym wystrojem ulic, przebudowanym stadionem i amfiteatrem. Nowy wygląd miasta jest m. in. zasługą młodzieży koszalińskiej i słupskiej — współgospodarzy spotkania. Dzielem młodzieży jest również Letnia Stanica w Rosnowie, gdzie przez 3 dni mieszkało ponad 5000 delegatów z całego kraju.

Spotkanie młodzieży polskiej było okazją do podsumowania dorobku wszystkich organizacji zrzeszonych w FSZMP, a dorobek to niemały.

Rok 1975 kończy bieżącą pięciolatkę. Znalazło to swoje odbicie w zwiększonej aktywności społeczno-produkcyjnej młodzieży. Do prowadzonego przez FSZMP współzawodnictwa: „Mój sukces — socjalistycznej ojczyźnie" przystąpiły wszystkie środowiska młodzieży.

Wielki był udział młodzieży w realizacji zadań inwestycyjnych. Na budowie huty „Katowice" i Fabryki Samochodów Małolitrażowych, w elektrowni „Górna Odra" w Opolu i elektrowni w Połańcu, na budowie magistrali Biłgoraj — Stalowa Wola i na wielu innych, znaczących w życiu kraju budowach, prowadzona była działalność patronacka. Poprzez liczne turnieje, olimpiady i konkursy upowszechniano ideę mistrzostwa, współzawodnictwa, przodownictwa w pracy i nauce.

Był to jednocześnie okres dalszego umacniania jedności polskiego ruchu młodzieżowego. Wyrazem tego było wprowadzenie wspólnej dla wszystkich członków Socjalistycznych Związków Młodzieży Polskiej legitymacji członkowskiej.

Koszalińskie spotkanie zgromadziło czołówkę polskiej młodzieży.

Migawki z niezapomnianych koszalińskich dni przedstawia Wam dziś nasz fotoreporter JACEK ŁOPUSZYŃSKI.

DOM MODY świata młodych

Kto powiedział, że nie?

Otrzymałam ostatnio sporo listów od dziewcząt martwiących się straszliwie, że... muszą zrezygnować ze swoich ukochanych spodni, bo już nie są modne.

Nie bardzo rozumiem skąd ta rozpacz i kto powiedział, że spodni nosić nie można!? Faktycznie, nie są już one tak wszechwładne jak to było jeszcze 2—3 lata temu, kiedy wszystkie dziewczynki, dziewczęta i dorosłe panie biegały w spodniach od świtu do nocy. W międzyczasie odnotowaliśmy triumfalny powrót sukienek, a zwłaszcza spódnic, które trochę te ukochane spodnie przyćmiły, ale do ich całkowitego z naszego życia wygryzienia to żadna, najcudowniejsza nawet spódnica nie ma dość siły. I chyba nigdy nie będzie miała.

No bo spodnie są w gruncie rzeczy niezastąpione. Jest tysiąc sytuacji, w których w spódnicy niby być można, ale nie jest to najwygodniejsze. Więc niby w imię czego skazywać się na niewygodę? W imię mody? Nic błędniejszego — spodnie są w dalszym ciągu modne.

Jakie? Tutaj niewiele nowego mam do powiedzenia, bo stosunkowo mało się zmieniło. W dalszym ciągu nosi się spodnie niezbyt opięte, leciuteńko, od samej góry poczynając, rozszerzające się ku dołowi, ale na dole nie są już takie szerokie i zamaszyste jak to ongiś bywało. Długie, do połowy pięty sięgające, mogą być z mankietem albo bez (uwaga, mankiet tylko dla wysokich!), mogą być gładkie, a mogą być w kratkę, w paski, w supełki. Zapięcie najczęściej na suwak i najczęściej z przodu, ale to nie reguła. Spodnie sięgające talii, biodrówki dawno znikły.

Poza tymi spodniami są, oczywiście, dżinsy, do których żadne z w/w zasad się nie odnoszą. Dżinsy mogą być i opięte, i wąskie, i krótkie, i biodrówki... Jakie kto lubi lub jakie kto ma. Modnie jest je na dole trochę podwijać, tak na wysokość prawie do połowy łydki.

A więc...? Oczywiście, nosimy w dalszym ciągu spodnie!

RIUSZKA

DALSZY CIĄG ZE STR. 1

DOBROĆ

Agnieszka ma słuszny żal do rodziców. Przecież ona jedna okazała się prawdziwą koleżanką, pomogła innym w biedzie, nie trzymała swoich rzeczy kurczowo w garści, jak komuś były potrzebne, to dawała. Agnieszka jest dobra. Nie w porządku są natomiast jej koledzy, gdy obóz się kończył powinni pożyczone rzeczy oddać. To jednak nie jej wina, że ma takich kolegów.

Zbyszek

LEKKOMYŚLNOŚĆ

Oj, Agnieszko, Agnieszko! Trampki, sweterek, dwie bluzeczki, latarka, peleryna... Policz, ile to kosztuje! Nie ty za to płaciłaś, nie ty zarobiłaś te pieniądze. W pełni rozumiem Twoich rodziców. Oczywiście, że można pożyczać, ale nie dawać na własność. Byłaś lekkomyślna, to teraz cierp!

Suddenly

Myślę, że Krzysztofowi nie bardzo się podobały pewne cechy charakteru Mirka i dlatego — mimo że bardzo chciał, zląkł się tej przyjaźni. Bo na podstawie tych dwóch epizodów, to Mirek wydaje mi się być chłopakiem zapatrzonym w siebie. Np. jak grali w piłkę — pewnie faktycznie zapomnieli, że obiad się zbliża, ale jeśliby się nawet spóźnili, to wszyscy razem. A Mirek się wyłamał, nie obchodziła go reszta, on sam chciał być w porządku. A taka postawa nie rokuje dobrej przyjaźni z takim człowiekiem. Żal mi więc Krzyśka z powodu jego samotności, ale myślę, że miał rację.

Andrzej J.

CZEPIANIE SIĘ!

Krzysiek sam nie wie czego chce. Marzy o przyjaźni, a potem ni z tego, ni z owego przyjaźń taką odrzuca. O co ma pretensję do Mirka? O te nieszczęsne okulary słoneczne?! Przypuszczam, że Mirek nie chciał mówić chłopcom, że przewiduje pogodę, bo jeśliby jej nie było, to wszyscy byliby rozczarowani i mieliby do niego pretensję, że zrobił im niepotrzebnie nadzieję.

Jolka z Warszawy

JA-TY-MY

GRANICA

Nie wiem jak wyglądała zażyłość Magdy i jej przyjaciółki, ale uważam, że nawet „najserdeczniejsza przyjaciółka", która obraża się z tak błahego powodu, nie jest tej przyjaźni godna. Dla mnie np. jest oczywiste, że już nawet sama prośba o pożyczenie czegoś, co kosztowałoby powyżej 500 zł, jest nie na miejscu, a co dopiero obrażanie się na skutek odmowy. Jakaś bzdura!

A teraz w sprawie szerszej, o tym JA. Myślę, że postawa z JA na pierwszym planie przeszkadza w życiu. To pewnie banał, ale prawda. Nie znaczy to jednak, że trzeba w związku z tym uciekać do cienia i nie wychylać się, nie pokazywać się na pierwszym planie. To też byłby błąd. Po prostu, trzeba tylko dostrzegać otoczenie i nie uważać się za lepszego od innych.

Dorota K. z Poznania

POSKROMIENIE EGOISTKI

Proponuję Michałowi bardzo prosty sposób na Ankę, w czasie kolejnego spotkania nie daj jej dojść do głosu i cały czas opowiadaj tylko o sobie. Zobaczysz, zaraz jej ta maniera przejdzie.

„Kitty"

TO NA ODWRÓT!

Nie zgadzam się ze „Żbikiem". Zupełnie na opak zrozumiał list Krzysztofa.

No i jak? Ma rację JOLKA czy ma rację ANDRZEJ? A może żadne z nich? A może obydwoje?

Jest AGNIESZKA dobra, czy lekkomyślna? A może i taka, i taka? I czy to musi iść ze sobą w parze — jak dobry to lekkomyślny, jak rozsądny to niedobry?!

Jesteś TY. Jest ON, jest ONA, MY, ONI, WY... Kto jest ważniejszy?

Jeśli trzeba by wybierać — korzyść moja, własna, prywatna, czy korzyść ogółu, nasza — to co byś wybrał? Czy zawsze tak samo, czy w różnych sytuacjach różnie? W jakich? Dlaczego?

„JA — TY — MY". To tytuł naszej dyskusji, do udziału w której zapraszamy i Ciebie.

Zastanów się, co myślisz na ten temat!

Napisz!

Czekamy na Twój list!

Na kopercie zaznacz: „JA — TY — MY"

KLUB NASTOLATKÓW

Zdarzyło się w ubiegłym roku

LEKCJA TAŃCA

Ankę i Agnieszkę nazwano siostrami syjamskimi, a o ich przyjaźni mówiono, że przetrwa „do grobowej deski". Mieszkały obok siebie, chodziły do jednej klasy, należały do tego samego zespołu tanecznego i razem wyjeżdżały na wakacje...

— One są jak ogień i woda — mówiła o nich ich wychowawczyni. I rzeczywiście. Anka była przysłowiową dziewczyną — iskrą. Gadatliwa, ruchliwa, roztrzepana, wszędzie jej było pełno. Uczyła się nie najgorzej, ale przed końcem każdego semestru groził jej obniżony stopień ze sprawowania. Przeszkadzała na lekcjach, wiecznie czegoś zapominała i aby się usprawiedliwić... kłamała. Zmyślała tak barwnie bajki o przeróżnych domowych kataklizmach, swoich i cudzych nieszczęściach, że i klasa, i nauczyciele w trakcie tych opowiadań nie mogli powstrzymać się od śmiechu. Kłamstwa Anki były tematem długich rozmów z wychowawczynią. Płakała, przyrzekała poprawę i... znowu kłamała. Wszyscy doskonale wiedzieli, co jest powodem tych kłamstw. Anka bała się swoich rodziców. Za każdy słaby stopień lub uwagę w dzienniku była karana.

— Przyniosłaś uwagę?! Za karę przez dwa tygodnie nie pójdziesz do kina, ani na zabawę, nie pojedziesz też na wycieczkę.

— Dostałaś trójkę z matematyki?! Nigdzie w niedzielę nie wyjdziesz. Będziesz się uczyła, aby poprawić ten słaby stopień.

Zupełnie inna była Agnieszka. Spokojna, poważna, jedna z najlepszych uczennic w klasie. Na Agnieszkę zawsze można było liczyć. Pomagała słabszym uczniom, opiekowała się pierwszakami. Tak się w klasie utarło, że jeśli ktokolwiek miał jakieś kłopoty, zwierzał się Agnieszce. Ona zawsze potrafiła znaleźć rozwiązanie. Wychowawczyni mówiła o niej „moja prawa ręka". Bo Agnieszka była niezawodna w rozwiązywaniu klasowych konfliktów. Bezradna stawała się tylko wobec kłamstw Anki i... kar jej rodziców. Chociaż bardzo ją lubili, nigdy nie zdarzyło się, aby na jej prośby i błagania darowali Ance chociaż część kary. Nie pomogły też i interwencje wychowawczyni.

— Przykro mi, ale muszę być konsekwentny — mawiał ojciec Anki.

* * *

W siódmej klasie przyszła nowa wychowawczyni. W dzienniczku Anki prawie codziennie wyrastały teraz nowe uwagi: „Ania przeszkadza na lekcji; Ania nie przyniosła zeszytu i potrzebnych przyborów szkolnych; Ania nie odrobiła lekcji, Ania kłamie."

— To dla twojego dobra! Ja chcę zrobić z ciebie porządną uczennicę i oduczyć cię kłamstwa — kwitowała nauczycielka błagania Anki o niewpisywanie uwag.

Anka teraz prawie w ogóle nie wychodziła za karę z domu. Rodzice ostrzegali ją, że jeśli nie poprawi stopni i w dalszym ciągu będzie przynosiła uwagi, nie pozwolą jej należeć do zespołu tanecznego. Dla Anki, która miała tańczyć solową partię podczas inauguracyjnego występu zespołu, byłaby to najgorsza ze wszystkich kar. Nic więc dziwnego, że starała się bardzo. Agnieszka czuwała nad przyjaciółką. Odrabiała z nią lekcje, sprawdzała zeszyty, no i pilnowała w szkole.

Tak się pechowo złożyło, że akurat na lekcję, którą prowadziła wychowawczyni, Anka nie przyniosła potrzebnego zeszytu. Oczywiście, powędrowała do domu z uwagą. Nie pomogły prośby ani jej, ani Agnieszki. Wychowawczyni była nieubłagana. A kiedy wieczorem ojciec poprosił o dzienniczek, wiadomo było, jaka kara czeka dziewczynę za tę uwagę.

— Od dziś nie będziesz chodziła na te swoje tańce!

* * *

W sobotę miał się odbyć ten najważniejszy występ. Anka nie próbowała nawet prosić rodziców o pozwolenie na wyjście z domu, powiedziała po prostu, że wychodzi na zbiórkę harcerską razem z Agnieszką.

Nieszczęścia chodzą parami. Ojciec Anki podczas spaceru spotkał Agnieszkę.

Rys. M. Teodorczyk

— A gdzie Ania? Czy się nie spotkałyście? Miałyście być na zbiórce? — zasypał ją pytaniami.

Agnieszka wiła się jak piskorz. Broniąc przyjaciółki zaczęła... kłamać. Starała się wytłumaczyć, że Ania czeka na nią w szkole, że właśnie idzie na zbiórkę.

— Nie wierzę ci, Agnieszko. Ty nie potrafisz kłamać. Chodźmy razem do szkoły.

Kłamstwo Agnieszki, oczywiście, szybko się wydało i w końcu wykrztusiła, gdzie jest Ania.

Awantura była potężna! Anka twierdziła, że to przez Agnieszkę, przez jej brak lojalności. A Agnieszka milczała smutna. I nie próbowała się nawet tłumaczyć.

* * *

Od tego wydarzenia minął rok. W szkole nie mówi się już o siostrach syjamskich i o idealnej przyjaźni do „grobowej deski".

ELŻBIETA JEDLIŃSKA

REDAKCYJNA POCZTA

Internatowe życie

Mam 16 lat i jestem uczniem drugiej klasy Zasadniczej Szkoły Zawodowej. Kiedy przyjechałem po wakacjach do internatu, w którym mieszkam, zastałem w mojej sali zmiany. Zamiast pięciu — jak w zeszłym roku szkolnym — były tylko cztery łóżka. Wszyscy koledzy-współmieszkańcy — byli już na miejscu, a ja zostałem tym „odrzuconym". Pozostało mi tylko przejście do innego pokoju. Nie byłoby mi jeszcze tak bardzo przykro, gdyby nie następująca sprawa: w poprzednim roku szkolnym odszedł z naszej sali jeden chłopak. Akurat zostały więc cztery miejsca. Niestety, to miejsce zajął kolega z sali, w której teraz ja mieszkam. Do niego nie mam pretensji, jako że na pewno został zaproszony przez moich byłych kolegów. Żal mam właśnie do nich. A wszystko dałoby się pogodzić przez wstawienie jednego dodatkowego łóżka! Koledzy nie wyszli jednak z taką inicjatywą, a ja nie chcę się poniżać do tego stopnia i prosić ich o to. Teraz nie wiem jak mam się do tych kolegów odnosić? Czy im to wypomnieć, czy w ogóle nie poruszać tego tematu? Może czytelnicy Redakcyjnej Poczty pomogą mi rozwiązać tę przykrą dla mnie sprawę? Keri

Bitwa o ławkę

W pierwszym dniu szkoły w naszej klasie była prawdziwa „bitwa" o dobre miejsce. Tym dobrym miejscem są, oczywiście, stoliki na końcu rzędów. Od pierwszych ławek każdy ucieka, ponieważ tam „ani odpisać na klasówce, ani narozrabiać, tylko trzeba spokojnie siedzieć i słuchać monotonnego wykładu" — tak mówią u nas. Do klasy weszłam dość późno i dlatego usiadłam w „niedobrej" — pierwszej ławce. Po kilku dniach wysłuchałam frapujących opowieści, jak to fajnie jest siedzieć na końcu... Nie myślcie, że list napisałam dlatego, że zazdroszczę koleżankom tamtego miejsca! Przeciwnie, chciałabym przekonać je, że pierwsza ławka to nie taka znów przykrość. Przynajmniej nie muszę się tyle uczyć w domu, bo uważnie słucham lekcji. A to chyba ważne!
Maria, woj. Kraków

Alicja Antoszewska (14 lat), ul. Słowackiego 16 m 3a 60-823 Poznań — interesuje się haftem, chciałaby wymieniać wzory do wyszywania.

Jak zwalczyć tę zarazę?

W 96 numerze „Świata Młodych" przeczytałam list czytelnika, który poruszył problem gitowców. Uważam, że trzeba im wydać walkę, ponieważ filozofia tych ludzi sprowadza się do formuły: „Kto pracuje — jest głupi". Gitowszczyzna jest chorobą zakaźną. Jej przedstawiciele demoralizują swoje otoczenie, a ci, którzy im „podpadną", są przez nich prześladowani. Nie ukryje się taki nigdzie. Są różne formy zwalczania tej zarazy. Ja uważam, że najważniejszą sprawą jest stworzenie w samym środowisku młodzieży takiej atmosfery, aby nikomu nie imponowało hasło gitowców. Faktem jest, że zjawisko to rozwija się tam, gdzie młodzież nie ma żadnych ambicji. Natomiast nie słychać o gitowcach tam, gdzie organizacje młodzieżowe, szczególnie harcerstwo, nadają styl życiu szkoły, przyciągając do swoich szeregów tych, którzy by się mogli dostać pod zły wpływ, lub też chcą się z niego wydobyć. **Z każdego bagna można się wydostać** (przykładem Kmicic!), ale nieraz potrzebna jest czyjaś pomoc. Apeluję do wszystkich czytelników „Świata Młodych" — Stańmy do walki z wszelkiego rodzaju gitowszczyzną na terenie naszej szkoły!
Żanet

Młodzieżowy Telefon Zaufania

Z dniem 1 września 1975 r. w Warszawie po wakacyjnej przerwie wznowił swoją działalność Młodzieżowy Telefon Zaufania — nr 988. Telefon jest czynny w dni powszednie w godzinach 12—20.

ŻADNEMU Z NASZYCH PLEMION NIE BRAKŁO LASÓW NA ŁOWY, ŚCIEŻEK NA WĘDRÓWKI, SZEROKICH ROWNIN, NA KTÓRYCH PASŁY SIĘ STADA BIZONÓW (Cytat z powieści Sat-Okha „Ziemia Słonych Skał")

INDIANIN MARYNARZEM, *czyli* DZIEJE DŁUGIEGO PIÓRA

DOKOŃCZENIE ZE STR. 1

MOJA MATKA NOSIŁA IMIĘ TAWAH, BIAŁY OBŁOK. MIAŁA BOWIEM JASNE WŁOSY — TAK JASNE JAK ŻADNA Z INNYCH KOBIET PLEMIENIA.

Znaleźli ją pół martwą w zimowym lesie. Uznali, że chyba spadła im z nieba. Jak biała, obca kobieta zdobyła sobie serca nieufnych Indian, ich uznanie i miłość wodza — pozostało zagadką również i dla jej najmłodszego syna Sat-Okha. Chociaż może on najbardziej jest w stanie zrozumieć jej sytuację, gdyż w kilkanaście lat potem sam znalazł się w podobnej. Matka przywiozła go do Polski w 1938 roku jako „absolwenta" indiańskiej szkoły Młodych Wilków, który bardziej rozumiał mowę zwierząt niż białych ludzi zamieszkałych w obcym dla niego kraju matki.

— Tu jest opisana historia mojej matki, mój przyjazd do Polski — Sat-Okh pokazuje mi książkę w języku rosyjskim wydaną w Moskwie w 1973 roku i napisaną wspólnie z radziecką pisarką Rasułową-Butkiewicz. — **Okazało się, że moja matka była na zesłaniu razem z jej wujem Georgijem Paszkowskim. Dogadaliśmy się, obejrzeliśmy stare fotografie i tak powstała ta książka pt. „Drogi się schodzą".**

W latach po rewolucji 1905 roku dla polskich i rosyjskich rewolucjonistów była ta sama droga — na katorgę, na zesłanie, na Sybir. Stanisława Okulska, młodziutka rewolucjonistka, członek SDKPiL, z Radomia trafiła na ziemię Jakutów, niedaleko cieśniny Beringa, aby po kilku latach, już przed pierwszą wojną, drogą przez Alaskę uciec do Kanady. Na początku ucieczki było z nią jedenastu towarzyszy, dotarła tylko ona jedna, a od śmierci uratowali ją Indianie z plemienia Szewanezów.

...RAZ JESZCZE ZACIĄŁEM SIĘ W LEWE RAMIĘ, ABY KILKA KROPEL KRWI SPŁYNĘŁO NA ŚNIEG POKRYWAJĄCY ZIEMIĘ WOLNYCH SZEWANEZÓW, ABY ZAWRZEĆ Z NIĄ PRZYMIERZE NA KAŻDĄ PORĘ ROKU. NA CZAS MROZU I NA CZAS UPAŁU, NA CZAS WIATRU PÓŁNOCNEGO I WIATRU POŁUDNIA, NA CAŁE ŻYCIE, JAK DŁUGO TRWAĆ BĘDZIE.

Druga wojna zaskoczyła Sat-Okha i jego matkę w Polsce, nie było już możliwości powrotu do Kanady. Sat-Okh podzielił losy wielu Polaków: gestapo w Radomiu, transport do Oświęcimia, ucieczka z pociągu, walka w partyzantce na Kielecczyźnie.

Po wojnie służba wojskowa, oczyszczanie z min polskiego morza i wreszcie praca mechanika na „Batorym", na statkach handlowych. Pływał do Indii, Japonii zdarzył się i rejs do Kanady.

— Przyszła siostra ze szwagrem na pokład „Batorego", ojciec miał już wówczas 92 lata i nie mógł odbyć dalekiej podróży — wspomina Sat-Okh. — **Mieszkali wówczas w rezerwacie Caughnawaga — Grzmiące Wody pod Montrealem. Siostra wyszła za mąż za wodza z plemienia Mohawków. Widziałem się też w 1967 roku po raz pierwszy z przyjacielem swojego dzieciństwa Skaczącą Sową — jest wodzem szczepu koło Fortu Alberta. Zawsze witają mnie tam serdecznie. Uczestniczę w ich uroczystościach. Ostatnio nawet zaprosili i żonę, choć była ubrana po europejsku. W pewne rytualne święta Mohawków, którzy zachowali starą religię, jest to niedozwolone. Moja żona jednak tańczyła indiańskie tańce w szpilkach przez cztery godziny. Myślałem, że mnie wówczas oskalpuje... Tak, oni by chcieli, abym wrócił do nich i pomógł im w porozumieniach z białymi. Teraz w Kanadzie wiele się zmieniło, rząd płaci za tereny narciarskie, za wodę**

Sat-Okh podobnie jak i na pierwszej stronie i tu występuje w autentycznym indiańskim stroju.

czerpaną dla miasta z wodospadu na terenie rezerwatu Indian. Ale oni są nieufni; białemu, jeśli nawet przychodzi im coś ofiarować, nie wierzą. Mówią wówczas: „wiatr wieje", co znaczy „mowa trawa".

Sat-Okh pokazuje mi Certifikate of Indian Status — dowód, że jest zarejestrowany jako kanadyjski Indianin.

— Mam prawa indiańskie do łowów przez cały rok, do terenów łowieckich, darmowej jazdy pociągiem i samolotem po terenach Kanady. Przyszli do mnie z Departamentu do Spraw Indian na statek, kazali podpisać. Doszukali się w papierach, że mój ojciec, Wysoki Orzeł, podpisał status w 1925 roku.

Przynależność Sat-Okha do Indian nie jest nawet i dziś tylko formalna, pieczętuje ją również i „ścieżka krwi". Kanadyjscy rasiści zabili mu kilka lat temu szwagra i siostrę, a jeszcze wcześniej zginął najstarszy brat. Sat-Okh od wielu lat mieszka i pracuje w Polsce, ale problemy życia Indian są mu ciągle bliskie.

— Temat indiański nie jest egzotyczną przygodą dla młodzieży, jak się tu często uważa. Jest to historia narodu z ciekawymi tradycjami, bogatą kulturą, sztuką. Narodu, który ginie na oczach świata. A można choć zachować prawdziwą wiedzę o tych ludziach i niejednego się od nich nauczyć...

NA SZCZĘŚCIE DOBRE DUCHY PUSZCZY NIE ZAPOMNIAŁY O MNIE I PRZYCHODZIŁY CO NOC W SNACH. PRZYNOSIŁY GŁOSY PUSZCZY...

— Nie lubię miasta, nie lubię nawet morza. Pamiętam każde drzewo w mojej puszczy, każdą żyłkę mego konia, na którym kiedyś odcisnąłem swoją dłoń. Najlepiej czuję się w lesie. Urlop w tym roku spędziliśmy z żoną w najdzikszym zakątku Borów Tucholskich. Pływaliśmy naszym canoe. Tak, autentyczne canoe przywiozłem od Mohawków. Na wiele rzeczy trochę inaczej patrzę. Wszyscy się tu zachwycali jak Olbrychski znakomicie jeździ na koniu w „Potopie", a mnie się śmiać chciało. Sam siedziałem na koniu mając dwa lata. U Indian już 5-letni chłopcy biorą udział w zawodach. Indianin jeździ bez siodła i całkowicie się z koniem utożsamia, czuje go. Koń się męczy, ja się męczę, koń spragniony, ja spragniony...

To całkowite zbratanie się z naturą, nazywanie każdej żywej istoty bratem, dla nas, skażonych cywilizacją, pozostanie indiańską tajemnicą.

— Chciałbym napisać księgę indiańskich tajemnic, o mowie rąk, piśmie obrazkowym, o tym jak się zachować w lesie, o śladach, co one mówią. Ale czy starczy czasu? Teraz druga część „Ziemi Słonych Skał" ukaże się po rosyjsku w Leningradzie. W Moskwie, również tylko po rosyjsku ukaże się druga moja książka „Opowieści starego Sagamora"; jest to historia Cheyennów.

Na pokładzie „Batorego", na którym pracował jako mechanik.

Podziwiam bogate indiańskie zbiory Sat-Okha, a przede wszystkim jeszcze całkowicie niewykończony indiański strój wyszywany przez niego samego w kolorowe wzory drobniutkimi koralikami.

— Jeszcze muszę wyszyć drugi rękaw — mówi Sat-Okh i pokazuje mi jak się to robi.

Stroju, niestety, nie uda mu się wykończyć przed rejsem. Tym razem szczęśliwie się składa — statek płynie do Kanady.

BARBARA TYLICKA

Zdjęcia: Archiwum i J. Hattowski

Sat-Okh demonstruje w telewizji fajkę pokoju i swoje indiańskie zbiory.

TELEWIZJA

NIEDZIELA

9.00 — TELERANEK: — Piosenka na dzień dobry — Telewizyjny Klub Śmiałych, cykl „Dookoła nas" — Niedzielne nowiny — Spróbuj z nami — Film animowany „Pies, kot i..." — o największej polskiej zaporze wodnej w Solinie — Pracownia Plastyczna: wystawa mozaik — Film z serii „Przygody Żorro".

Pr. II.

14.30 Niedziela z przyjaciółmi — reportaż z Międzynarodowego Obozu Pokoju i Przyjaźni w Chorzowie.

PONIEDZIAŁEK

17.00 — ZWIERZYNIEC — poświęcony egzotycznym zwierzętom: Wszystko o hipopotamach — Gawęda Michała Sumińskiego o piżmakach — Wiadomości z ZOO — Zagadki — Film z serii „Przygody psa Huckelberry"

WTOREK

17.35 — STUDIO TELEWIZJI MŁODYCH

CZWARTEK

17.00 EKRAN Z BRATKIEM — „Konstruktorzy" z Wrocławia.

SOBOTA

13.00 Bajkowy koncert życzeń.

RADIO

NIEDZIELA

11.00 — 11.20 Pr. I. „Katarynka gra na rynku" — słuchowisko Wandy Chotomskiej.

15.30 — 16.15 Pr. II. „Nie ma ceny na miód akacjowy" — cz. I słuch. Stanisława Kowalewskiego.

18.53 — 19.00 Pr. I DOBRANOCKA

PONIEDZIAŁEK

9.05 — 9.25 Pr I. „Raz, dwa, trzy... i co dalej?" — audycja Marii Lastowieckiej.

11.00 — 11.25 Pr. II. „Okruchy szkół" — aud. Anny Balickiej.

15.00 — 15.40 ZAWSZE O PIĘTNASTEJ: — „AS" — minimagazyn dla uczniów — „Sami o sobie" — dyskusja — „Klub Śpiewających Poliglotów" — „Wyspa błękitnych delfinów" odc. 16 pow. Scott O'Dell przekład Zofii Uhrynowskiej.

WTOREK

9.40 — 10.00. Pr. I. „Syrenka i Syreny" — słuch. Krystyny Tarnowskiej.

11.00 — 11.30 „U schyłku wieku" — dyskusja literacka z udziałem dr dr Ireny Maciejewskiej, Romana Lotha i Andrzeja Makowieckiego.

15.00 — 15.40 Pr. II. ZAWSZE O PIĘTNASTEJ: — „Co o tym sądzisz?" — „Między nami melomanami" — magazyn muzyczny — „Wyspa błękitnych delfinów" odc. 17.

ŚRODA

9.05 — 9.25 Pr. I. „Śpiewające owady" — aud. Barbary Kaloga z cyklu „Abecadło z pięciolinii".

13.00 — 13.20 Pr. II. „Raz dwa, trzy... i co dalej?" (powt. z 22.09.75 r.).

15.00 — 15.40 ZAWSZE O PIĘTNASTEJ: Studio Słonecznik: „Konie i koniki" — „Sygnał dla białej orchidei" — odc. 24 serialu słuch. Aleksandra Minkowskiego — „Opowieści Sokolego Oka" — „Co w nutach piszczy?" — „Wyspa błękitnych delfinów" odc. 18.

CZWARTEK

9.05 — 9.30 Pr. I. „Szewc Kopytko i kaczor Kwak" — słuch. wg baśni Kornela Makuszyńskiego z cyklu „Teatr Szkolny".

11.00 — 11.20 Pr. II. „Spróbujmy to zestrzygnąć sami"

15.00 — 15.40 ZAWSZE O PIĘTNASTEJ: „Nie ma ceny na miód akacjowy" cz. II. słuch. Stanisława Kowalewskiego — „Wyspa błękitnych delfinów" odc. 19.

PIĄTEK

9.00 — 9.20 Pr. II. „Podwodna spiżarnia" — aud. dr Tomasza Umińskiego

9.40 — 10.00 „Warszawskie piosenki" — aud. słowno-muzyczna Teresy Bilsińskiej.

13.00 — 13.20 „Śpiewające owady" — (powt. z 24.9.75 r.).

15.00 — 15.40 ZAWSZE O PIĘTNASTEJ: — „Błękitna Sztafeta": — pytaj — odpowiemy — medal dla każdego — ani bez nich — „Wyspa błękitnych delfinów" odc. 20

SOBOTA

9.00 — 9.20 Pr. I. „Własną pracą"

11.00 — 11.25 Pr. II. „Wielka gra" aud. Marty i Stanisława Warnerów.

13.00 — 13.25 „Szewc Kopytko i kaczor Kwak" (powt. z 25.09.75 r.).

15.00 — 16.00 ZAWSZE O PIĘTNASTEJ: — Młodzieżowa Agencja Kulturalna: — aktualności kulturalne — reportaż z Klubu Popierających Poezję — wiersz z dedykacją — „Pro sinfonica" — reportaż z Poznania — Wasze sprawy — felieton Zbigniewa Lisieckiego — piosenka MAK-u — „Klub Przyjaciół Muzyki Polskiej" — aud. Janusza Cegiełły — „Wyspa błękitnych delfinów" odc. 21.

Polskie Radio i Telewizja zastrzegają sobie możliwość zmian w programie.

ŚWIAT MUZYKI

GAZETA MELOMANÓW

Redaguje: LECH NOWICKI

PORTRETY

JULIAN CONNONBALL ADDERLEY

W miejscowości Gary w stanie Indiana zmarł Julian Connonball Adderley, jeden z najwybitniejszych saksofonistów w historii jazzu. 47-letni muzyk był wirtuozem, którego wspaniałą technikę i temperament podziwiano na estradach całego świata.

Urodził się 15 września 1928 roku w Tampa na Florydzie. Po ojcu kornecíście odziedziczył talent i zainteresowanie muzyką. Założył i prowadził przez osiem lat orkiestrę w Dillard High School, potem, już jako znany i ceniony instrumentalista, występował z Oscarem Pettifordem, Miles Davisem, był solistą w big bandzie George'a Shearinga. Zafascynowany Charlie Parkerem długo pozostawał pod jego wpływem. Szybko zdobył sympatię publiczności i uznanie krytyków. „On posiada najwspanialszy ton ze wszystkich współczesnych alcistów. Jego żywiołowość i siła przypominają rzeczywiście „connonball" (pocisk armatni)". A propos... Cytowany Joachim Ernst Berendt tłumaczy słowo „connonball" jako pocisk armatni, natomiast Roman Waschko twierdzi, że „przydomek connonball pochodzi od „Kanibal"; tak zwali Juliana koledzy w szkole, gdyż już wtedy Adderley wyróżniał się wyjątkowym apetytem". Kto ma rację — oto jest pytanie?...

Kwintet Connonballa Adderleya z bratem Natem Adderleyem na kornecie przewodził zespołom grającym jazz typu „funk". Urzeczony gospelsami i surowymi bluesami z Południa potrafił Adderley stworzyć własny styl, który niebawem stał się wzorem dla innych. Saksofonista austriacki Hans Koller powiedział: „Gdy trzeba wskazać muzyków, którzy w ciągu ostatnich lat byli dla nas wzorcami i według których modelowaliśmy swój styl, okaże się, że w przypadku trębaczy i w ogóle muzyków grających na instrumentach dętych blaszanych — decydował kolor skóry. Tylko czarni muzycy byli nas w stanie zainspirować. Sytuacja saksofonistów przedstawiała się trochę inaczej. Frazowanie przejęliśmy od Murzynów, ton prawie wyłącznie od białych. Pierwszym czarnoskórym muzykiem, który zmienił tę regułę był Connonball".

Znakomite nagrania, udane występy na słynnych festiwalach jazzowych w Newport i Nowym Jorku, pierwsze lub czołowe miejsca na listach klasyfikacyjnych saksofonistów, popularne „przeboje" — („Merci, merci", „Work song", „African waltz") — oto dorobek artystyczny tego wielkiego jazzmana, który w 1972 roku spotkał się z polską publicznością na Jazz Jamboree. „Dawno nie mieliśmy okazji słuchania tak prawdziwego jazzu. Niesamowita, niemal beatowa rytmika, gorące, dynamiczne linie melodyczne, swing i napięcie cechują grę tego znakomitego (może najznakomitszego obecnie) combo. Cóż to była za radość oglądać i słyszeć tego niezwykłego alcistę i przemiłego człowieka na scenie w towarzystwie świetnych muzyków. W „Black Messiah", kompozycji George Duke'a (grywał niegdyś z Zappą), zaatakował słuchaczy gorącym brzmieniem i rock and rollową rytmiką. Taneczny niemal charakter miała śliczna kompozycja Adderleya „Pretty Paul", dedykowana Paul Desmondowi („who is going to be famous some day" — ...który będzie kiedyś sławny). Słyszeliśmy także sławne „Merci, merci" i dynamiczne „Walk tall". I choć wiadomo, że Julian i Nat Adderleyowie potrafią grać jeszcze lepiej, to jednak ich występ mógł usatysfakcjonować najbardziej wybrednych".
(Jazz — nr 12 z grudnia 1972 roku).

Zdjęcie: **Archiwum PSJ**
Julian Connonball Adderley (z prawej) z bratem Natem.

ZNAJOMI Z SOPOTU

GLENN WESTON, przedstawiciel brytyjskiej wytwórni płytowej Liberty — United Artists Records zdobył „Bursztynową Płytę — Grand Prix de Disque". Z sympatycznym piosenkarzem rozmawiałem zaraz po uroczystym rozdaniu nagród...

— *To mój pierwszy festiwal — myślę jednak, że nie ostatni. Cieszę się bardzo... Obie piosenki podobały się publiczności i jury, choć wybraliśmy je dość przypadkowo. Współpracuję od dwóch lat z amerykańskim aranżerem, który przyjechał ze mną do Sopotu i był obecny na każdej próbie. Polska jest cudownym krajem, ludzie są tacy mili... Zdobyłem przydatne w moim zawodzie doświadczenie, poznałem wielu doskonałych wykonawców, wspaniałe piosenki... Szczególnie przypadły mi do gustu piosenki polskie. Kiedy wrócę do domu będę się starał nagrać ich jak najwięcej. Niech mi pan wierzy — ta nagroda to najbardziej urocza niespodzianka w moim życiu...*

— Z wykształcenia jest Pan inżynierem elektrykiem...

— *...ale zawsze interesowałem się muzyką, a zwłaszcza piosenką. Śpiewałem nawet w chórze, bo głos mam chyba nie najgorszy. Potem zaproszono mnie do udziału w programach telewizyjnych i kabaretowych. Debiutowałem u boku takich gwiazd jak Judith Durham i Nancy Wilson, śpiewałem tytułową piosenkę w filmie Franco Zefirelliego „Romeo i Julia", „zaliczyłem" tournée po Stanach Zjednoczonych i Francji, niedawno ukazał się mój najnowszy singel „Lost without you".*

— Plany na przyszłość...

— *Za kilka dni wyjeżdżam ponownie do USA. W Londynie przypomnę się rodakom cyklem koncertów, no i... chciałbym, oczywiście, przyjechać jeszcze raz do Polski. Spędziłem tu cudowne chwile, które na długo pozostaną w mojej pamięci.*

Zdjęcie: **Jerzy Płoński**

Drukujemy dziś największy przebój lata — piosenkę, którą wylansowała Anna Jantar. Wróćmy na chwilę do wakacyjnych wspomnień — „H'asta manana".

„H'ASTA MANANA"

Ostatni dzień w Barcelonie
Ostatni z tobą dzień.
Wakacje już skończyły się
Nie powiem jednak żegnaj,
Lecz do jutra.
REF.:
H'asta manana, jutro też jest dzień,
Taki sam, tylko ja
muszę pożegnać Barcelonę już.
Nie powiem jednak żegnaj
Lecz do jutra.
H'asta manana ty odpowiesz mi,
Nie wiesz nic, nie wiesz, że
Skończyła się piękna przygoda,
Wiecznie trwać przecież nie mogła.
H'asta manana, miły, H'asta manana bywaj zdrów.
Cudowne dni w Barcelonie
Minęły niby sen.
I trochę żal, że kończy się
Ostatni dzień wakacji,
Czas odjechać.
REF.: H'asta manana...

KALENDARZYK MELOMANA

— Dziś (20.09.75 — godz. 20.00. Sala Koncertowa Filharmonii Narodowej) rozpoczyna się XIX Międzynarodowy Festiwal Muzyki Współczesnej „Warszawska Jesień". Przez osiem dni będziemy mieli okazję oklaskiwać znakomitych wykonawców (Peter Pears, Percussion de Strasbourg, Scene et Musique d'Aujourd'hui, Maurizio Pollini), którzy zaprezentują dzieła współczesnych kompozytorów polskich i zagranicznych.

— Pojutrze (22.09.75 — godz. 17.00 i 20.00 Sala Kongresowa) — wielka gala — Koncert Jubileuszowy z okazji X-lecia istnienia popularnego zespołu „Skaldowie".

REPORTER ŚWIATA MŁODYCH

Tego dnia wstałem bardzo wcześnie. Już o godz. 4.30 byłem w lesie odległym o 3 km. Postanowiłem wybrać się na grzyby. Wiele osób zrobiło to samo, ponieważ pojawiły się kurki i borowiki. Byłem w dobrym humorze: już na skraju lasu znalazłem 6 borowików.

Idąc coraz dalej w głąb lasu, zauważyłem, że idę chyba śladem jakiegoś zapalonego zbieracza grzybów. Ślady zostawione przez tego „szperacza", bo tak go nazwałem, były tak widoczne, że zauważało się je z daleka. Po prostu co kilka kroków ściółka leśna była zniszczona, jakby grzebało w niej stado kur.

Początkowo naprawdę myślałem, że to robota leśnych mieszkańców, ale po chwili ujrzałem człowieka z kijem w ręku, grzebiącego w ściółce.

UDAŁO MI SIĘ URATOWAĆ CZĄSTKĘ PRZYRODY

Trzymałem się z daleka, ponieważ chciałem zobaczyć, czego tak zawzięcie szuka. Po kilku minutach zobaczyłem, jak znalazł dorodnego borowika.

Człowiek ten chyba nie zdawał sobie sprawy z tego, co robi. Gdy go spytałem, dlaczego tak postępuje, odpowiedział: „Podobno, gdy znajdzie się jednego borowika, to wokół rośnie ich więcej". Wytłumaczyłem „szperaczowi", że jeśli przyjedzie kilkunastu takich jak on, to za rok czy dwa w lesie nie będzie ani jednego grzyba, gdyż grzebiąc patykiem wokół grzyba niszczy się w ten sposób grzybnię. Przyrzekł mi, że nie będzie tak postępował i będzie ostrzegał innych. Tak więc udało mi się uratować cząstkę przyrody, która nas otacza.

GRZEGORZ KOŁOSOWSKI
Joachimów

abrakadabra

CZYLI UNIWERSALNE GRY I ZABAWY DLA WSZYSTKICH

ZEBRAŁ BEN AKIBA

Każdy znajdzie tu coś dla siebie. Dziś prezentuję nową w Abrakadabrze „Zgadywankę z zabytkami". To z okazji międzynarodowego roku zabytków. Zresztą — jak wiecie — lubię wszelkie stare cie. Napiszcie mi, jak Wam się podobała ta zagadka, nie jest ona zresztą łatwa ani prosta.

Czekam także niezmiennie na „Pomysły do Abrakadabry" (to hasło umieszczajcie obok adresu), im oryginalniejsze i starsze — tym lepsze.

Kłaniam się elegancko.

BEN AKIBA, gospodarz Abrakadabry

ZAGADKA Z ZABYTKAMI

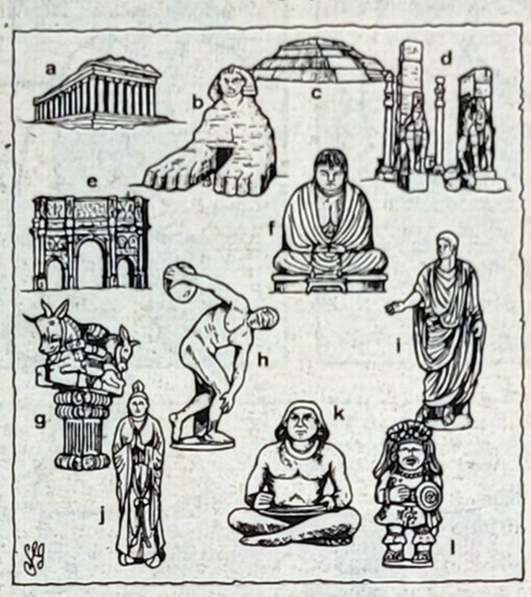

Oto dwanaście zabytków starożytnego świata. Wybrałem — moim zdaniem — najbardziej znane. Są to: Budda z Kamakury, dyskobol Myrona, piramida słońca z Teotihuacan, pisarz z Sakkary, urna grzebalna z Oaxaca, statua Tyberiusza, kapitel z pałacu Artaxerxesa, Partenon, brama pałacu Xerxesa, figura z kolekcji Todaiji, sfinks z Gizy, łuk Konstantyna. Rozpoznaj je i ustaw w takiej kolejności, a następnie pogrupuj parami po dwa zabytki ze starożytnej Grecji, Rzymu, Persji, Meksyku, Japonii, Egiptu.

SAD ZE STUDNIĄ

Pisałem już o różnych podziałach sadów, ale dziś mam jeszcze jeden bardzo ciekawy problem. Sad, którego granice ułożono z 20 zapałek, ma w środku studnię: Spróbujcie:

1) podzielić ten sad na 6 równych pod względem powierzchni części, używając do tego 18 zapałek;

2) podzielić dwudziestoma zapałkami obszar sadu na 8 części równych pod względem powierzchni i kształtu.

GWIAZDY ARENY

Oto parada gwiazd areny — specjalnie dla Przyjaciół Abrakadabry. Niektóre osoby występujące na rysunku pozbawiono jednak należących do nich przedmiotów. Zgromadzono je u dołu rysunku i ponumerowano. Zastanów się, jakie przedmioty należą do osób oznaczonych literami!

ODPOWIEDZI Z POPRZEDNIEJ SOBOTY

Czarodziejka i 7 różnic: 1) o jedną gwiazdę więcej na sukni czarodziejki, 2) magiczna pałeczka jest dłuższa, 3) o jedną falbę więcej na narzutce czarodziejki, 4) rysy na przedniej szybie auta, 5) dynia ma dodatkowy liść, 6) brak lewego mankietu u pachołęcia, 7) dłuższy fartuch. **Spirala i kwadraty** oraz **Sensacyjna ucieczka:** rozwiązanie przedstawione na rysunkach. **Anomalie:** latarnia morska na pustyni; tablica bez napisu; silnik od motorówki przy lunecie; peryskop spod piasku; szkielet ryby; ślady stóp w dziwnych kierunkach; dziurka od klucza; jedno koło auta mniejsze; cień człowieka niezgodny z kierunkiem padania promieni słonecznych.

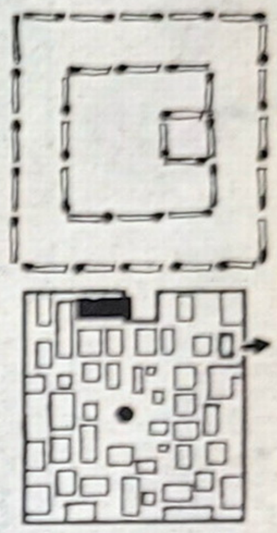

ZADANIE PREMIOWANE NR 51

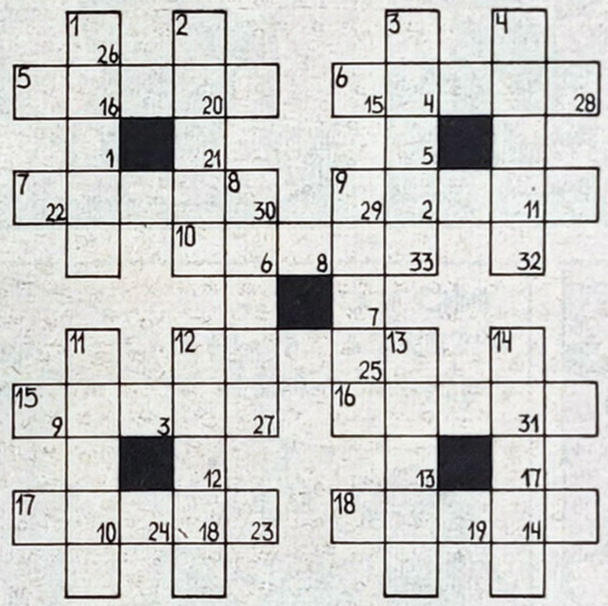

KRZYŻÓWKA PRZYRODNICZA Z SZYFREM

Po rozwiązaniu krzyżówki wszystkie litery z kratek ponumerowanych w prawym dolnym rogu, przeniesione do odpowiednich pól dolnego diagramu i czytane rzędami utworzą nazwy czterech roślin — końcowe rozwiązanie zadania. Wypisz je na kartce pocztowej i prześlij w ciągu 7 dni od daty tego numeru pod adresem: „Świat Młodych", Mokotowska 24, 00-561 Warszawa, „Zadanie premiowane nr 51".

Prawidłowe rozwiązania wezmą udział w losowaniu bonów książkowych.

1	2	3	4	5	6	7	8	9	10	11
12	13	14	15	16	17	18	19	20	21	22
23	24	25	26	27	28	29	30	31	32	33

ZNACZENIE WYRAZÓW

Poziomo: 3) zboże w które uciekła przepiórczyca, 6) bania z jadalnymi pestkami, 7) w jednym za żłobów dano osiołkowi, 9) chroniony ptak drapieżny, w Polsce bardzo rzadki, 10) zielona na stawie, długa na powiece, 12) drzewo liściaste, 13) gatunek nietoperza, 16) roślina motylkowa uprawiana na zielony nawóz, 17) przedstawiciel licznej gromady wodnych płazińców, 18) arbuz.

Pionowo: 1) zielona na łące, 2) jesienny kwiat, 3) ziemnowodny drapieżnik żywiący się rybami, 4) żółty, wiosenny kwiat, w Polsce chroniony, 8) ptak mieszkający w domku, 9) uparty klapouch, 10) grzyb albo ptak drapieżny, 12) w parze z łanią, 13) wierzchowiec, 14) amerykański krewniak żubra.

ROZWIĄZANIE ZADANIA PREMIOWANEGO NR 45 Z 94 N-RU „ŚWIATA MŁODYCH" Z DNIA 9.08.1975 R.

Prawidłowe rozwiązanie: Sienkiewicz — „Ogniem i mieczem", „Potop", „Pan Wołodyjowski", „Latarnik".

Bony książkowe otrzymują: Ewa Fitak — Warszawa; Helena Glaron — Ciążkowice; Sławomir Jagiełło — Łódź; Stanisław Kantowski — Słupsk; Jolanta Senkalowska — Krasnybór, Tomasz Serwacki — Warszawa; Mieczysław Stala — Biała Podlaska; Jan Strzałkowski — Kielce; Lidia Szubert — Lubań Śl.; Ewa Trybus — Puszczykówko.

Gładki parkiet był dla niego śliski. Niezdarnie potykał się i ledwo pełzał za swym panem. Ujrzawszy na podłodze miskę, usiadł i przednimi łapami poprosił o mleko.

Wszyscy przyglądali mu się z uśmiechem.

— No, bierz! — rozkazał mecenas.

Runo szybko opuścił łeb i wychłeptał mleko mlaskając.

Wtedy Żiwa zbliżyła się do niego, chcąc go pogłaskać.

Ale pies popatrzył na nią spode łba i cicho zawarczał. Mama gwałtownie przyciągnęła dziewczynkę do siebie. Runo nie spuszczał z niej oka i cicho warczał.

— Żiwa, jeszcze nie można! Pies nas jeszcze nie zna! Gdy przyzwyczai się do ciebie, nic złego ci nie zrobi. Masz, daj mu kawałek chleba, to z wolna cię pokocha — powiedziała mama.

Mała dała mu chleb.

Runo znowu pięknie poprosił i pochwycił chleb w zęby. Ponieważ kęsisko było duże, położył się, wziął je między przednie łapy i zaczął gryźć. Gdy zjadł wszystkie większe kawałki, starannie wyzbierał okruszyny z podłogi, a podłogę wylizał do czysta. Żiwa dała mu jeszcze kawałeczek czekolady, którą wziął w zęby, ale nie zjadł, tylko położył na podłodze przed sobą.

Mecenas parsknął śmiechem.

— Cóż ty myślisz, że Runo to jakiś rozpieszczony pudelek, który objada się łakociami i wysypia się na kanapie w pokoju? — pouczył córeczkę.

— No, już dość długo przebywał Runo w salonie — uznał po chwili. — Pora, żeby przeniósł się do swego nowego mieszkania i zapoznał się z Doranem i Żinem.

Doran był to duży angielski dog, a Żin młody, krótkowłosy chart, który chodził z mecenasem na polowanie.

Znowu nałożono owczarkowi kaganiec i wyprowadzono do dużego ogrodu, oddzielonego od podwórza wysokim, półtorametrowym ogrodzeniem.

— Dlaczego założyłeś mu ten brzydki kaganiec, tatusiu? — spytała Żiwa, której żal zrobiło się psa.

— Mógłby pogryźć się z Doranem albo Żiwem — wyjaśnił ojciec.

— A jeżeli napadnie go Doran? Nie będzie mógł się bronić.

— Nie, Doran na pewno go nie napadnie. Przeciwnie, obawiam się, że to Runo zaatakuje Dorana albo Żina. Lepiej niech sobie ponosi kaganiec. Powoli przyzwyczai się do nowego towarzystwa. A potem go uwolnimy od tej przykrej ozdoby.

Z pięknego domku w stylu szwajcarskim wyszedł jakiś stary, ale jeszcze krzepki starszy człowiek.

— Matej — zwrócił się do niego pan mecenas — przywiozłem wam psa, o jakim marzyliście. No co, czy nie jest podobny do psów, jakie mieliście w Bośni, kiedy jako dziecko chodziliście za owcami?

Staruszkowi zaświeciły się oczy, bo nagle jak przez mgłę, ujrzał na wysokich połoninach swoją młodość, zanim jeszcze został ogrodnikiem u Matanicia.

— Dzień dobry, panie mecenasie — przywitał go. — To prawda, bardzo podobny do tamtych psów, ale nie taki sam.

— Co takiego?! Chyba chcecie powiedzieć, że tak pięknego owczarka jeszczeście nie widzieli?

— Właśnie, zgadł pan — potwierdził Matej.

Runo podszedł do ogrodnika i obwąchał go swoim zwyczajem. Najpierw powąchał jego buty, potem spodnie i marynarkę, wreszcie podniósł się na tylne łapy, oparł przednimi łapami na jego piersi i powąchał tuż pod brodą.

— Aha, poczułeś zapach ojczystych stron, co owczarku? — ucieszył się Matej. Pogłaskał psa po aksamitnym łbie i podrapał po śnieżnobiałym karku. Pies chciał go polizać, ale kaganiec mu przeszkadzał.

— Ten kaganiec mu zdejmę, proszę pana — zaproponował Matej.

— Boję się, że dorwie się do skóry Dorana i Żina — odparł mecenas.

— Nie sądzę. Przecież jest tu obcy. Na ulicy albo w górach napadłby ich, gdyby tam się zjawili. Znam te psy. Są bitne, na świecie nie ma takich, które mogłyby z nimi się mierzyć. Zresztą pies, który się nie bije, nic nie jest wart, nawet złamanego grosza. Ale tutaj, wśród obcych, nie napadnie ich — orzekł stary ogrodnik.

Rzeczywiście tak było, jak zapowiedział staruszek.

Odwiązał Runa z łańcucha, uwolnił go z kagańca. A z psiej budy wypuścił Dorana i Żina. Obydwa psy machały ogonami i ostrożnie podchodziły do nowego towarzysza. Runo ich nieufnie obserwował, nie okazując ani przyjaznych, ani wrogich uczuć. Zbliżyły się i bojaźliwie go powąchały. Runo warknął.

— Nie wolno, Runo! — upomniał ogrodnik.

Runo dobrze wiedział, co znaczy słowo: „Nie wolno"!

Pasterz Miszko nieraz też tak go ostrzegał. Ilekroć zawołał: „Nie wolno!", pies słuchał go. Tak też zrobił teraz. Umilkł i usiadł, ale tak, że miał nowych towarzyszy przed sobą. Mecenas i Matej świetnie się bawili.

C.d.n.

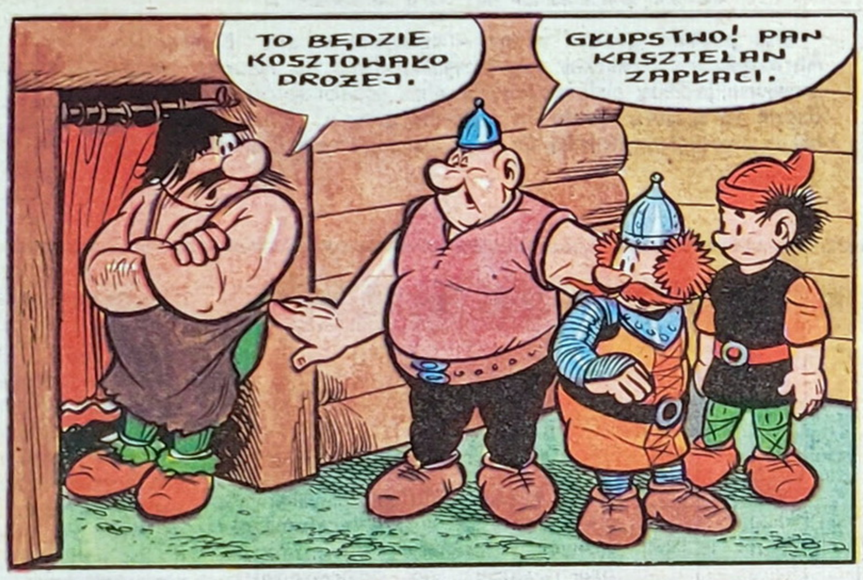

ŚWIAT MŁODYCH

ADRES REDAKCJI: ul. Mokotowska 24, 00-561 Warszawa; ADRES ODDZIAŁU: al. 3 Maja 7, 40-096 Katowice.

UKAZUJE SIĘ WE WTORKI, CZWARTKI I SOBOTY.

REDAGUJE KOLEGIUM: Stanisław Borowiecki, Jerzy Dąbrowski, Anna Grzybowiecka, Ewa Kłosiewicz, Jerzy Kowalkowski, JERZY MAJKA (redaktor naczelny), Wojciech Pielecki, Ryszard Ratajczyk, Mieczysław Teodorczyk, Barbara Tylicka, Marzena Wierzcholska, Bożena Zwolińska.

TELEFONY:

Red. naczelny	21-15-61
Sekr. redakcji	28-25-48
Dział Łączności z Czytelnikami	28-56-18

Nie zamówionych materiałów redakcja nie zwraca.

WYDAWCA — RSW „Prasa—Książka—Ruch" Młodzieżowa Agencja Wydawnicza 00—561 Warszawa, ul. Koszykowa 6 A Telefony: Dyrektor 28-99-77, Dział Wydawniczy 29-35-32, 29-54-13. Prenumerata krajowa: miesięczna 19,50 zł, kwartalna 58,50 zł, półroczna 117 zł, roczna 234 zł. Od instytucji i szkół z miast wojewódzkich i gmin prenumeratę przyjmują wyłącznie miejscowe oddziały i delegatury RSW „Prasa-Książka-Ruch" w terminie do 25 listopada na rok następny. Od instytucji, szkół, w miejscowościach, gdzie nie ma oddziałów i delegatur RSW „Prasa-Książka-Ruch" oraz od wszystkich prenumeratorów indywidualnych prenumeratę przyjmują wyłącznie miejscowe urzędy pocztowo - telekomunikacyjne oraz listonosze w terminie do 10 dnia miesiąca poprzedzającego okres prenumeraty. Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę, która jest o 40 proc. droższa od krajowej, przyjmuje Biuro Kolportażu RSW „Prasa-Książka-Ruch", ul. Wronia 23, 00-840 Warszawa, konto PKO 1-6-100024. Sprzedaż numerów zdezaktualizowanych na pisemne zamówienie prowadzi Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw RSW „Prasa-Książka-Ruch", ul. Towarowa 23, 00-958 Warszawa

Opracowanie graficzne: Mieczysław Teodorczyk

Redakcja techniczna: Henryka Żochowska

DRUK: Państwowe Zakłady Graficzne „Dom Słowa Polskiego". Warszawa.

Zam. 113/6009. B-48

Nr indeksu — 35039/33044.

5. JESZCZE raz próbował zerwać łańcuch. Mecenas otworzył oczy.

— Cóż to, Runo? Co ty wyprawiasz? Gdzie masz rozum? Runo zmęczył się i zasapał. Położył się, uspokoił i zdrzemnął, ale tylko na chwilę, gdyż wnet wskoczył na ławkę, usiadł i obserwował krainę, pokrytą srebrną polewą księżycowej poświaty.

— Od czasu do czasu z daleka dolatywało go szczekanie psów. Z bólu i żalu smutnie zawył.

Gdy dzień stanął w oknie przedziału, zajechali do Zagrzebia. Wysiedli. Dr Matanić podszedł do telefonu i wezwał auto. Kilka minut przechadzali się przed dworcem. Było zimno. Słońce jeszcze nie wzeszło. Na wschodzie jaśniała czerwona zorza na ciemnym granacie nieba.

Runo rozglądał się ciekawie. Wszystko, co widział, było nowe. Szczególnie zainteresował go tramwaj, który hałaśliwie dudnił i dzwonił. W pierwszej chwili przestraszył go, ale kiedy dwa, trzy razy przejechał obok, Runo już się z nim oswoił.

Wkrótce samochód zajechał przed dworzec. Kierowca zabrał plecak mecenasa i położył obok siebie na siedzeniu. Potem przyszła kolej na Runa. Z początku mocno się wzbraniał, ani rusz nie chciał wejść do wozu, w końcu jednak uległ.

Mecenas opadł na miękkie poduszki siedzenia i zapalił papierosa. Pies siedział obok niego. Wyglądał przez okno. Klakson, który bez przerwy trąbił, zdenerwował go tylko za pierwszym razem i trochę jeszcze za drugim, a potem już go nic a nic nie obchodził. Dość szybko przyzwyczaił się do miejskiego gwaru.

Samochód skręcał pod górę, gdzie na zboczu stały piękne willę i zatrzymał się przed wysokim budynkiem. Nowy pan wyciągnął psa z samochodu. Runo szedł za nim ociężale. Przed bramą czekała już na męża i nowego gościa pani mecenasowa z sześcioletnią córeczką Živą, która tak samo jak jej ojciec i matka, kochała psy, koty i inne stworzenia.

Ile radości i krzyku! Podziwom nie było końca. Dziewczynka oglądała każdą łapę z osobna, lewe i prawe ucho, ogon, nawet każdy pazur u łapy. Najbardziej podobały jej się oczy w śnieżnobiałych obwódkach. A jak śmieszne miał wąsy! I cały taki puchaty jak misiek.

— Doprawdy, nawet niedźwiadek w ZOO nie jest tak ładny! — zawołała. — A jak mu na imię?

— Runo.

— Co znaczy Runo?! — zainteresowała się pani mecenasowa.

— Runo to futro, kożuch, wełna czy coś podobnego — wyjaśnił pan mecenas.

— Całkiem ładnie się wabi! — przyznała pani.

Nie oponował ani pan mecenas, ani Živa.

Tak więc owczarek Runo pozostał Runem.

— Czy on już coś jadł dzisiaj? — zatroszczyła się dziewuszka.

— A to ładnie, ładnie, moja panno! Ale czy twój tatuś jadł coś dzisiaj, o to nie pytasz! — rzekł z przekąsem mecenas. — Nie, dzisiaj jeszcze nic nie jadł. Dajcie mu mleka. Przyzwyczajony jest do mleka i mamałygi.

Gdy mecenas opowiedział, że Runo już był pasterzem i pasał owce, Živa zaraz poprosiła, żeby w ten sposób zatrudnić go u nich, w Zagrzebiu.

— Tatusiu, chyba mu kupisz owieczki, no nie? Tak bym chciała zobaczyć, jak nasz Runo pasie owieczki!

— Oczywiście, moja mała, oczywiście, tylko musielibyśmy mu też zafundować góry — uśmiechnął się mecenas i poprosił gosposię, żeby przyniosła miseczkę mleka.

— Zaprowadźmy go do salonu — poprosiła Živa.

— Naturalnie — zgodziła się mama. — Takiego znakomitego gościa musimy podejmować w salonie.

Runo w zakłopotaniu poczłapał za gospodarzem. Chociaż mu zdjęto kaganiec, był, o dziwo, bardzo potulny.

Dokończenie na str. 7